Zbigniew Nosowski
Miesięcznik „Więź”

Kościół katolicki w Polsce po 1989 roku. Bliżej społeczeństwa czy bliżej władzy?

Po roku 1989 autorytet Kościoła malał aż do roku 1993. Wtedy ponownie się odrodził i ustabilizował na wysokim poziomie. Wyniki badań cenionych polskich ośrodków badania opinii publicznej proces ten ukazują w sposób mierzalny, uchwytne narzędziami socjologicznymi, poprzez badanie zaufania do Kościoła jako instytucji. Tym zjawiskiem interesował się głównie Ośrodek Badania Opinii Publicznej, z kolei aprobatę dla działań Kościoła jako instytucji badało przede wszystkim Centrum Badania Opinii Społecznej.

Według OBOP, w roku 1989 poziom zaufania do Kościoła jako instytucji był bardzo wysoki. Potem nastąpił znaczący i bardzo szybki spadek, ale od końca 1992 roku znów można odnotować dość szybki jego wzrost. Później zaś utrzymywała się zasadnicza stabilność. Ciekawe, dlaczego po spadku zaufania nastąpiło odwrócenie trendu?

Jeśli chodzi o ocenę działalności Kościoła w tym samym czasie, badał ją CBOS. Początkowo aprobata malała bardzo szybko: od poziomu blisko 90 proc. w roku 1989 do 38 proc. w roku 1993. Następował widoczny spadek ocen pozytywnych i bardzo szybki wzrost ocen negatywnych. W roku 1993 społeczny autorytet Kościoła był mocno nadwerężony – ocen negatywnych było więcej niż pozytywnych. Rok 1993 jawi się jako moment przełomowy – nastąpiło odwrócenie trendu. Później sytuacja znowu się ustabilizowała na wysokim poziomie – około 60–70 proc. ocen pozytywnych i dwadzieścia kilku procent ocen negatywnych. Warto zastanowić się, dlaczego następowały te dwa procesy – najpierw spadek, a potem wzrost ocen pozytywnych.

Jeśli chodzi o spadek, to od roku 1989 do 1993 występują cztery grupy przyczyn tego zjawiska. Część z nich można również zauważyć obecnie.

Pierwsza przyczyna ma charakter obiektywny. Socjologowie mówią o efekcie sufitowym, to znaczy, że wskaźniki nie są w stanie już wzrosnąć, bo wyżej jest już tylko sufit. Nie można oczekiwać, że w demokratycznym

społeczeństwie pod koniec XX wieku regularnie 90 proc. obywateli będzie pozytywnie oceniało wspólnotę, instytucję, której przedstawiciele głoszą bardzo poważne ze swej natury treści. Nie mają na celu budowania popularności, lecz przeciwnie – stawiają ludziom wysokie wymagania, więc w tym kontekście spadek pozytywnej opinii jest nieuchronny.

Po drugie, można mówić o błędach samego Kościoła w pierwszych latach polskiej wolności, zwłaszcza o postawach i działaniach osób, które ten Kościół reprezentują, a więc hierarchów, których zachowania skłaniały do podejrzeń, że chcą oni mieć bezpośredni wpływ na władzę państwową, niejako w uznaniu za swoją postawę w okresie PRL. Powszechnie znane stały się takie sytuacje, jak np. wystosowanie przez biskupa listu do premiera rządu wolnej Rzeczypospolitej sugerującego personalnie, kto powinien zostać wojewodą na terenie objętym zwierzchnictwem biskupa. W czasie wyborów parlamentarnych wskazywano, oficjalnie lub nieoficjalnie, które komitety wyborcze godne są poparcia przez katolików. W 1991 roku przed wyborami do parlamentu pojawiła się anonimowa, ale rozsyłana z Sekretariatu Konferencji Episkopatu, ulotka wymieniająca pięć komitetów, na które katolik może głosować z czystym sumieniem. Paradoksalnie, nie było na tej liście np. NSZZ Solidarność, który wystartował jako oddzielny komitet wyborczy. Istniała wówczas oddolna potrzeba udzielania takich wskazówek. Radykalna zmiana sytuacji, w porównaniu do niedawnej przeszłości, mogła być niezrozumiała dla zwykłych duszpasterzy. W roku 1989 bowiem, podczas kampanii przed „w ćwierci wolnymi” wyborami do Sejmu, Solidarność i opinia publiczna oczekiwały otwartego zaangażowania się Kościoła w kampanię. Spotkania z kandydatami Solidarności odbywały się w budynkach kościelnych. Po roku 1989 wskazywanie przez duszpasterzy „właściwych” kandydatów spotkało się z niechęcią. Kościołowi trochę zabrakło wyczucia tej nowej sytuacji.

Trzecią przyczyną spadku aprobaty po roku 1989 było zaangażowanie się Kościoła w dyskusje o regulacjach prawnych, szczególnie w sprawach niepopularnych i bardzo trudnych. To między innymi czas sporu i uchwalania ustawy o ochronie życia poczętego. Kosztem ubocznym zaangażowania się w sprawy, które są nie tyle kontrowersyjne, ile stawiają ludzi wobec większych wyzwań, jest spadek popularności oraz aprobaty dla działań Kościoła jako instytucji będącej autorytetem społecznym.

Jest też jeszcze inny istotny czynnik – o spadku aprobaty współdecydowała również swoista postkomunistyczna mentalność. Ksiądz Józef Tischner mówił o *homo sovieticus*. Ten sposób myślenia przejawiał się również w tym, że wielu Polaków za normę uznawało model obecności Kościoła w życiu publicznym, jaki ukształtował się w okresie PRL.

Wszystkie nowe rozwiązania, takie jak powrót lekcji religii do szkół czy przywrócenie posługi kapelanów w szpitalach, więzieniach czy w wojsku, były przez ludzi traktowane jako krok w stronę państwa wyznaniowego, sprzeczny ze standardami demokratycznymi.

W tym miejscu pozwolę sobie na dygresję osobistą. Chociaż urodziłem się w czasach, kiedy stawiano mur berliński, czułem się wolny od propagandy komunistycznej, która mnie kształtowała w PRL-owskiej szkole. To dla mnie znaczące, zwłaszcza że wydawało się, iż świat po zostanie trwale podzielony tym murem. Gdy w roku 1989 rząd Tadeusza Mazowieckiego podjął decyzję o przywróceniu lekcji religii w szkołach, ja – uczestnik lekcji wyłącznie w kościelnych salkach katechetycznych – byłem przekonany, że jest to sprzeczne ze standardami państwa demokratycznego. Dopiero parę miesięcy później, kiedy już mogłem sięgnąć do literatury, sprawdzić fakty, zorientowałem się, że odwrotnie – standardem europejskim jest to, że lekcje religii odbywają się w szkołach publicznych, a wyjątkiem jest sytuacja, w której ich nie ma. Tak więc przekonałem się, że całe moje rozumowanie było jednak skutkiem propagandy. Uczono mnie, że religia jest prywatną sprawą człowieka, ale to właśnie wtedy ukułem twierdzenie, że religia jest najbardziej osobistą sprawą każdego człowieka, ale nie jest sprawą prywatną, bo zawiera aspekt wspólnotowy i misyjny, nie ogranicza się do prywatności. Podobna postkomunistyczna mentalność oddziaływała szeroko i była jednym z powodów spadku aprobaty dla Kościoła.

Dlaczego od roku 1993 nastąpiło odwrócenie tej spadkowej tendencji? Tutaj również można dostrzec kilka przyczyn, ale w głównej mierze związane są one z samym Kościołem.

Rok 1993 zaczął się od styczniowej wizyty polskich biskupów w Watykanie. Była to wizyta, jaką co pięć lat wszyscy biskupi powinni składać w Watykanie, żeby wspólnie z papieżem i kardynałami z kurii rzymskiej omawiać problemy Kościoła lokalnego. Jan Paweł II w przemówieniu do polskich biskupów bardzo stanowczo i jednoznacznie przestrzegał przed utożsamianiem się Kościoła z jakąkolwiek partią polityczną. Mówił, że żadna partia nie ma prawa do reprezentowania Kościoła w życiu politycznym. To niewątpliwie była lekcja płynąca ze smutnych doświadczeń roku 1991 – rozsyłania przez Sekretariat Episkopatu wspomnianej instrukcji i zgody prymasa Józefa Glempa na funkcjonowanie Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego pod szyldem Wyborczej Akcji Katolickiej. Efektem papieskich ostrzeżeń kilka miesięcy później była zmiana postawy Episkopatu w wyborach roku 1993. Biskupi sformułowali wówczas zasadę, której przypomnienie bardzo by się przydało również obecnie: nie

można być dobrym katolikiem, nie będąc dobrym obywatelem. To miało stanowić zachętę do udziału w wyborach, ale i do aktywności społecznej, obywatelskiej katolików. Zasada bardzo ważna w roku 1993, bo przełamująca schemat myślenia w kategoriach Polak-katolik i wychodząca nie od Polaka, ale od katolika, czyli od najgłębszego poziomu tożsamości człowieka wierzącego.

Kolejnym działaniem Kościoła było świadome kształtowanie jego publicznego wizerunku. Wiosną 1993 roku sekretarzem Episkopatu został biskup Tadeusz Pieronek i on sam wykonał olbrzymią pracę w tej dziedzinie. Wobec mediów i przez media, wobec społeczeństwa zaprezentował nową, bardziej ludzką twarz Kościoła – uśmiechniętą i życzliwą światu. Był zawsze gotowy do odpowiedzi przed kamerami, mówił zrozumiałym językiem. Elementem kształtowania tego odmienionego wizerunku Kościoła stała się też nowa polityka medialna, współtworzona przez powołaną w tymże 1993 roku Katolicką Agencję Informacyjną. Nowa strategia obecności Kościoła w świecie mediów zakładała zmianę jakościową; zamiast dotychczasowego narzekania na złe media, zaofiarowano profesjonalną informację, dobrze przygotowaną i przeznaczoną do wykorzystania.

W 1993 roku nastąpiło również podpisanie konkordatu, co – mimo politycznego wykorzystywania tego faktu przez Sojusz Lewicy Demokratycznej – z dzisiejszej perspektywy zainicjowało koniec zimnej wojny religijnej z początku lat dziewięćdziesiątych i doprowadziło do stabilizacji polskiego modelu relacji Kościół–państwo. Pomimo rozmaitych wahań, przez cały czas od roku 1989 ponad połowa Polaków obdarzała Kościół rzymskokatolicki zaufaniem, a Kościół należał do czołowych instytucji zaufania publicznego. Według badań OBOP wyższym poziomem zaufania cieszyły się stale jedynie organizacje charytatywne, tj. Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, Caritas i Polski Czerwony Krzyż. Jedynie niekiedy, z powodów, których nie potrafię wytłumaczyć, wojsko miało lepszą opinię i wyróżniało się wyższym poziomem zaufania niż Kościół.

Istotne przy tym jest to, że kryzys aprobaty zaufania do Kościoła nie pociągnął za sobą spadku praktyk religijnych. Polacy potrafili odróżnić stosunek do Kościoła jako instytucji od stosunku do Boga.

Dziś mówi się o kryzysie Kościoła i można nawet dostrzec jego przejawy. Trzeba jednak pamiętać, że Kościół po 1989 roku w Polsce ma już jeden poważny kryzys za sobą i to kryzys, który zaskakująco szybko i udanie został społecznie przezwyciężony. Ta stabilizacja społecznego autorytetu Kościoła, która ustaliła się na wysokim poziomie w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, świadczy też o zjawisku pewnej „kościelności mimo

wszystko". To znaczy, że pojawiające się niekiedy skandale z udziałem duchownych nie powodowały generalnego obniżenia zaufania do Kościoła jako takiego. Polacy wyraźnie mają skłonność do myślenia w kategoriach „dłużej klasztora niż przeora”. Nie „przeor”, nie błędy, nie grzechy i słabości człowieka, który tę instytucję reprezentuje, są powodem, dla którego w taki czy inny sposób postrzegamy Kościół.

Bardzo silne jest u Polaków przekonanie, że Kościół ma za dużo władzy. To utrwalony stereotyp. Jest on tak silny, że powoduje dużą niespójność ocen. W badaniach opinii o zbyt dużym udziale Kościoła katolickiego w życiu politycznym Polski spadek przypadł na okres rządów SLD – to wtedy ludzie zauważyli, że coś się zmieniło. Natomiast generalnie około 60 proc. (ok. 2/3) Polaków bardzo długo powtarzało, że Kościół katolicki ma za duży udział w życiu politycznym kraju, również w okresie, kiedy prezydentem był Aleksander Kwaśniewski, a premierem Leszek Miller. Czy to nie wpływało na postawę Polaków?

Nawet w czasie rządów koalicji SLD–PSL w 1994 roku, kiedy OBOP pytał, kto ma największy wpływ na rząd, 44 proc. badanych powiedziało, że parlament, ale aż 41 proc. sądziło, że największy wpływ na rząd Waldemara Pawlaka (w koalicji z SLD) ma właśnie Kościół katolicki. Ta opinia to utrwalony stereotyp – ludzie tak bardzo nie chcą, żeby Kościół wtrącał się do polityki, że wolą mówić, iż Kościół ma za duży wpływ na życie polityczne, nawet gdy go realnie nie posiada.

Co jednak ludzie mają na myśli, mówiąc: „Kościół”? Wydawałoby się, że instytucję. Jest jednak inaczej. Centrum Myśli Jan Pawła II (warszawska placówka samorządowa) przygotowało badanie unikalne na skalę światową. Próbowano zbadać właśnie tę kwestię, co ludzie mają na myśli, słysząc „Kościół”. Wskazano odpowiedzi „mistyczne”, instytucjonalne i wspólnotowe. Najczęściej wybierane były, ku zaskoczeniu socjologów, odpowiedzi z wymiaru mistycznego, duchowego. Pozostałe odpowiedzi rozkładały się mniej więcej po równo. Ta tendencja utrzymuje się w kolejnych badaniach. Oznacza to, że Polacy, kiedy mówią o Kościele, myślą przede wszystkim o Panu Bogu, na drugim miejscu – o ludzkiej wspólnocie i dopiero na trzecim miejscu – o instytucji.

Kościół jest oceniany bardziej krytycznie, gdy zbliża się do władzy politycznej. I to niezależnie, czy zbliża się tak naprawdę, czy też opinia ta jest jedynie efektem medialnego obrazu, który wpływa na sposób myślenia ludzi. Jest to ilustracja znanej skądinąd prawdy, że sojusz ołtarza z tronem na pewno źle służy Kościołowi, a jeśli pomaga rządzącym, to tylko na krótką metę. Na pewno też nie prowadzi do wzrostu autorytetu instytucji religijnych. Widać wyraźnie, że im bliżej było Kościołowi

do władzy po roku 1989, tym słabszy stawał się jego społeczny autorytet w latach 1989–1993 i także w latach 2005–2007. Autorytetowi Kościoła sprzyja natomiast zachowywanie większego dystansu wobec bieżącej polityki – wtedy przesłanie kościelne staje się bardziej wiarygodne.

Wnioski, jakie można z tego wyciągnąć, są zgodne z najlepszą polską tradycją. W Polsce katolicyzm był silny nie dlatego, że miał przywileje państwa, ale dlatego, że był silny poprzez kulturę, poprzez związek ze społeczeństwem, a nie z władzą. Kościół nie był silny w Polsce dzięki przywilejom udzielanym przez władzę, ale dzięki relacjom ze społeczeństwem. Był Ojczyzną w czasach zaborów dzięki temu, że rodzina była tak blisko Kościoła.

Pytanie postawione w tytule mojego opracowania zawiera w sobie pewien paradoks, bo mimo że po roku 1993 Kościół oddalał się od władzy, to jednocześnie nie przybliżał się do społeczeństwa. Powstał już w Polsce wypracowany, teoretycznie dobry, choć nie zawsze w praktyce realizowany, model relacji Kościół–państwo, opierający się na zasadzie autonomii i niezależności oraz współpracy w niektórych sprawach. Nie mamy jednak takiego modelu relacji Kościół–społeczeństwo. On dopiero się tworzy. W Kościele powszechnym jesteśmy na takim etapie, że model relacji: Kościół a życie społeczne – w nowej formule oddziaływania, już nie poprzez dążenie do stworzenia państwa wyznaniowego – dopiero się tworzy po II Soborze Watykańskim.

Ciekawe, że Episkopat po roku 1993 stopniowo rezygnował z myślenia w kategorii Polak-katolik i argumentu o 95 proc. katolików. Nie pojawiał się on w listach duszpasterskich Episkopatu w drugiej połowie lat 90. Natomiast w ostatnich latach nastąpił powrót takiego myślenia. Szukamy wciąż sposobu na to, jak być Kościołem społecznym, a nie Kościołem partyjnym czy politycznym. Nie mamy właściwej odpowiedzi na to pytanie i dominuje albo przemilczanie, albo politykowanie. Są parafie, w których wahadło poszło nawet w drugą stronę i żeby nie politykować, w ogłoszeniach parafialnych nawet nie wspomina się o wyborach. To jest wyraźnie reakcja na złe upolitycznienie Kościoła.

Wielkim, niewykorzystanym skarbem Kościoła jest olbrzymi kapitał społeczny, obecny w parafiach. To obywatelski potencjał parafii, które są potężnym rezerwuarem dla wolontariatu. Ludzie działający w ruchach, wspólnotach religijnych, z pewnością mają dobrą motywację do angażowania się na rzecz innych, ale, jak ocenił kardynał Kazimierz Nycz, jedynie 10 proc. parafii angażuje się społecznie. W liczbach bezwzględnych wydaje się to bardzo dużo, bo jest to około tysiąca parafii w całej Polsce, ale to znaczy, że pozostałe dziewięć tysięcy parafii jest społecznie biernych, ogranicza się do funkcji religijnych, mniej przemienia świat od wewnątrz.

Przyszłość jest niepewna. *European Values Studies* i *World Values Studies* podjęły się w swoich badaniach porównawczej analizy systemów wartości w różnych krajach. Badano m.in. odpowiedzi na pytania: czy Kościół daje odpowiedź na duchowe potrzeby człowieka, na problemy rodzinne, moralne jednostki, na problemy społeczne i polityczne kraju? W przypadku Polski nastąpił spadek pozytywnych odpowiedzi na te pytania w każdym z czterech wymiarów. Najwięcej pozytywnych ocen otrzymało pytanie: czy Kościół odpowiada na potrzeby duchowe człowieka? Między rokiem 1990 a 2008 nastąpił tu spadek o 10 proc. Natomiast największy spadek mieliśmy w przypadku odpowiedzi na pytanie: czy Kościół daje odpowiedzi na problemy rodziny? W roku 1990 było takich odpowiedzi ponad 80 proc., a do 2008 roku wskazania spadły o prawie 30 proc. Podobnie jest, jeśli chodzi o moralne problemy jednostki – Kościół coraz słabiej potrafi odpowiadać na problemy ludzi. W przypadku odpowiedzi na pytanie o problemy rodziny sytuacja jest zbliżona. Ten spadek jest naprawdę bardzo znaczący i to w odniesieniu do zagadnień, które w nauczaniu Kościoła zajmują przecież istotne miejsce.

W roku 2010 CBOS zrobiło badania dotyczące aprobaty dla działalności Kościoła rzymskokatolickiego. Kwiecień był czasem katastrofy smoleńskiej, poczucia zjednoczenia narodowego, żałoby, generalnie zwiększonego zaufania do wszystkich instytucji. Wcześniej, przez prawie 15 lat mieliśmy sytuację stabilności – 2/3 opinii o Kościele było pozytywnych. Na skutek katastrofy smoleńskiej dokonał się znaczący wzrost ich liczby (o prawie 10 proc.) Później, w czerwcu, nastąpił powrót do sytuacji wcześniejszej, a we wrześniu, po wakacjach – spadek o 10 proc. To oznacza, że coś istotnego zaczęło się zmieniać – nastąpiła wyraźna reakcja na wydarzenia na Krakowskim Przedmieściu, na bezsilność Kościoła jako instytucji wobec instrumentalnego wykorzystywania najświętszego symbolu chrześcijaństwa. Ta słabość, którą tak wyraźnie było widać publicznie, zdecydowanie wpłynęła na zmianę opinii.

Te dylematy Kościoła w Polsce – czy ma być bliżej społeczeństwa, czy bliżej władzy – można podsumować poprzez spojrzenie na relację między Kościołem a wolnością. Tradycyjnie w polskiej kulturze religia i wolność szły w parze. Tak było też w latach osiemdziesiątych XX wieku. Wtedy Kościół był przestrzenią wolności, obrońcą wolności, Kościoła się nie krytykowało. Na początku lat dziewięćdziesiątych pojawiło się i zaczęło społecznie dominować myślenie w kategoriach, że Kościół jest największym zagrożeniem dla wolności, że wnosi coś niebezpiecznego, że próbuje odebrać wolność człowiekowi. Później znowu, od połowy lat dziewięćdziesiątych, pojawiła się stabilizacja. Zrozumieliśmy, że Kościół ma wśród

wielu pluralistycznych ofert jedną propozycję dla ludzkiej wolności, którą ja nazywam najwspanialszą, najpiękniejszą, choć nie każdy musi tak mniemać.

Obecnie weszliśmy w kolejną fazę przemian kulturowych i sporu o rozumienie wolności. W tej chwili sprawą kluczową dla Kościoła powinien być brak zgody na przeciwstawianie sobie religijności i wolności, bo wolność dla człowieka współczesnego jest wartością podstawową. Dlatego niesłychanie ważne jest pokazywanie, co zresztą wspaniale robili bł. Jan Paweł II i Benedykt XVI, że wiara wtedy jest wiarą, kiedy jest świadomą relacją z Bogiem, a nie tylko odziedziczoną tradycją. Współczesny Katechizm Kościoła katolickiego nie definiuje już wiary w ten sposób, że jest to przyjęcie za prawdę „tego, co Pan Bóg objawił, a Kościół do wierzenia podaje”. Katechizm definiuje dziś wiarę jako odpowiedź człowieka na miłość Boga, czyli opisuje wiarę egzystencjalnie, nie zaś intelektualnie. Wiara jest wyborem ludzkiej wolności, bo wolność to nie tylko wolność „od”, ale i wolność „do”. Z jednej strony mamy sytuację, w której krytycy Kościoła dość skutecznie przedstawiają religię jako wroga wolności i chrześcijaństwo jako ograniczające człowieka poprzez wielość nakazów. Z drugiej strony jest też problem wewnętrzny, bo mamy w Kościele dość silne i wpływowe grupy, które widzą wolność jako zagrożenie, grupy, które wołałyby się zamknąć w swoim świecie. Dlatego tak ważne jest dzisiaj, aby Kościół mówił do współczesnych ludzi językiem wolności, pokazując, że to poprzez wiarę człowiek realizuje swoją wolność i wiara jest najlepszym urzeczywistnieniem tejże wolności.

Przyszłość jawi się jako niewiadoma. Socjologowie religii powinni interesować się Polską, ponieważ wciąż jesteśmy w sytuacji, w której nie wiadomo, w którą stronę pójdzie Polska. Zdecydowanie znaleźliśmy się na rozdrożu. I może być tak, że powtórzymy scenariusz niektórych krajów o tak mocnej tradycji katolickiej jak Hiszpania czy Irlandia, które w ciągu jednego czy dwóch pokoleń potrafiły się bardzo szybko zlaicyzować. Jest też możliwe, że w Polsce będzie inaczej, już nawet to widać. Pojawiały się rozmaite kryzysy, a autorytet Kościoła jako instytucji i poziom praktyk religijnych pozostawały w Polsce wysokie. Jest tu zatem bardzo ciekawe pole doświadczalne – socjologowie religii dawno już bowiem odeszli od myślenia o sekularyzacji jako o walcu, który musi przejechać przez cały świat. Ci, którzy mówili o tym najgłośniej, wycofali się z tej opinii i obecnie twierdzą, że tamto myślenie było owocem ducha swoich czasów, atmosfery rewolty po 1968 roku. Dzisiaj widać, że bez religii nie da się wytłumaczyć współczesnego świata. Co ciekawe, to amerykańscy socjologowie najczęściej wskazują na możliwość, że Polska będzie krajem,

który połączy modernizację z religijnością. W Europie zazwyczaj działo się tak, że modernizacja pociągała za sobą spadek religijności. W Polsce modernizacja dokonuje się bardzo szybko od dwudziestu lat, poziom religijności spada jednak bardzo powoli. Widać więc, że może to się potoczyć inaczej. Czy tak będzie, tego nie wiemy, bo dużo zależy od postawy samego Kościoła: czy będzie miał odpowiednią wizję na czasy wolności? Na razie tej wizji nie widać i być może tu tkwi największe zagrożenie na przyszłość.